

Wiech
Opowiadania powojenne

Tom X
Wątróbka po warszawsku

WIECH

Stefan Wiechecki

WĄTRÓBKA PO WARSZAWSKU

vis-à-vis
etiuda

Kraków 2023

Sos na fis

Gienia od tygodnia czasu nie chce jeść. Znaczy się odmawia przyjmowania pokarmów. Z żalu z powodu tej kuchni na 24 fajerki, jaką otrzymujemy w mieście Zakopanem na tak zwanem Fisie.

Dopiero w środę dała się namówić na kolację, jak ten Antoni Łaciak, z fachu podobnież mularz, wygrał srebrny medal za skok z jakiejś tam średniej Krokwi. Wrąbała nawet sporo: dwa schaboszczaki z kapustą i odsmażanymi kartofelkami. Wygłodzona była przez te biegi, w których z wielką trudnością zdobywaliśmy ostatnie miejsca. Byłaby opędzłowała jeszcze trzeci kotlet, bo go sobie nałożyła na talerz, ale znowuż sędziowie odebrali jej apetyt przez to, że skrzywdzili drugiego naszego skoczka, niejakiego Wale.

Przyczepili się bez dania racji do chłopaka o to, że po skoku troszeczkę się przewrócił, ale nie za bardzo i nie od razu. A potem na siedzeniu jechał jeszcze 50 metrów, ale mu tego nie zaliczyli i zepchli go na szary koniec między patałachów i ofiary losu.

A jak jakiś tam Szwedziak czy inszy Finlandczyk po skoku siedemnaście kozłów fiknął, narty pogubił i o mały figiel nie wpadł do łoży, w której zagraniczne, dewizowe, goście siedzieli, to nic, to w porządku?!

– Ach że wy łachudry sądowe! – krzyknęła na to Gienia i byłaby ciskała talerzem w telewizor, bo jak raz sędziowska komisja się w niem pokazała.

Całe szczęście, że ja miałem tyle przytomności zmysłowej, żem jej talerz odebrał, tylko jeden sędzia kartoflem w nos otrzymał.

– Gieniuchna, szanuj się, tak nie można, musiem być gościnne, sędziowie też się mogą mylić, a Wala i tak ma szczęście, że to nie jest sąd okręgowy i że sześć miesięcy mamra przez pomyłkę mu nie wkleili. Po drugie telewizor możesz nam uszkodzić i nie zobaczem dalszego ciągu Fisui, w którym możemy się jeszcze honorowo odegrać.

– Tak, na organkach. Co tu mówić o odegraniu się, jak nawet Biegunówna wysiadła i poszła z płaczem do domu.

Z tą Biegunówną to podobnie było tak: jeździła dziewczyna na tych nartach jak złoto i pięć kilometrów to dla niej była mucha i od razu ni z tego, ni z owego nerwy ją opuścili i nie mogła kroku zrobić. A wszystko to przez chuliganów, które ustawili się na szosie pod Zakopanem i ze złości, że Polska dostaje tak fatalnie w kość, najlepszą faworytkę zaczęli obcinać i pod krytykę brać, że za wolno posuwa:

– Stefcia, nie w te strony jadziesz!

– Narty widocznie masz szpicami do tyłu przypięte!

– Nie męcz się, siądź w tramwaj – i tak dalej w tym guście.

Głuchy by nie wytrzymał, to i Biegunówna wyciągnęła w końcu chusteczki, uderzyła w płacz i wycafała się z tych całych wyścigów.

A po mojemu powinna inaczej zrobić, spróbować jeszcze raz, ale razem z Łaciakiem Antoniem. Jako mularz, swoją wymowę chyba posiada i potrafi zasunąć chuliganom taką mozaikę, że dadzą Stefci święty spokój.

Zresztą nie wiem, nie znam zakopiańskich mularzy, może nie umieją jak się należy żywym słowem się posłużyć i chuliganów obciąć. Nasze warszawskie chociaż na nartach przeważnie nie jeżdżą, z językoznawstwem dają sobie radę pierwszorzędnie.

Jeżeli jednakowoż, panno Funiu, natrafiłaby pani na jakieś trudności, my oba ze szwagrem chętnie służę. Rzecz jasna, że pojedziem za panią góralskimi sankami i jeżeli się o nasz rozchodzi, zrobimy wszystko, żeby się pani jeszcze na tem Fisie ładnie pokazała. Pod tem jednakowoż waronkiem, że nie będzie się pani za bardzo nam przysłuchiwać. Chłopaki jesteśmy wstydlive, nerwowo możemy się załamać i wszyscy się rozpłaczem.

PS. Telegramy w te właśnie słowa zamiarowaliśmy pchnąć ze szwagrowskiem do Zakopanego na pomoc, czyli że zrobić tak zwany SOS na FIS, ale w ostatniej chwili dowiedzieliśmy się, że w piątek Biegunówna taką pokazała końcówkę, że oko wszystkim zbiegło. Odegrała się jak chciała. Widocznie sama dała sobie radę z chuliganami. A może nie miała ze sobą chusteczki?

W każdym bądź razie mocna grabulka od całej naszej rodzinki.

Żono-moto-rower

– No i patrz pan, panie Królik, co się z tego Żerania zrobiło, tu na placu, gdzie jeszcze niedawno kozy szczaw jedli, fabryka stoi jak wielkie nieszczęście.

– Jakie tam niedawno, już dziesięć lat minęło, jak FSO tu zasuwa. Ile już „warszaw”, ile „syrenek” po świecie lata, a ile tu gotowych stoi, ile po taśmie zapycha, a pan mówisz, że niedawno...

– Zaraz, zaraz, nadmieniał pan coś o taśmie. Jak to dokładnie taka taśmowa robota wygląda, bo ja, uważasz pan, nigdy tego nie widziałem.

– Zwyczajnie wygląda. Taśma na wałkach chodzi i samochód od remiechy do remiechy przesuwają. Jeden same koła ustawia, drugi ośki do nich dorabia i taśma chodu do trzeciego. Trzeci motor przyszwesuje, czwarty błotniki dorobi, a samochód wciąż po taśmie gania dalej i dalej, od oddziału do oddziału. W piątym lakiernicy malują „warszawę” jak lustro, w szóstym tapicerzy siedzenia obijają skórą, w siódmym maszyna schnie na cacy, w ósmym dostaje licznik i numera rejestracyjne, w dziewiątym próba hamulców się odbywa, a w dziesiątym dyrektor instytucji, która samochód kupiła, już czeka z teczką pod pachą. Jak tylko wóz podjedzie, siada i jazda na posiedzenie „Pod Krokodyla”.

– Zaraz, zaraz, czekaj pan, po mojemu tu czegoś brakuje, trzeba by jakoś tę całą produkcję usprawnić. Mam pomysł racnoza... racrona... racliza... niech ci cholera, nie mogę wymówić.

– Nie szkodzi, dawaj pan pomysł.

– Uważasz pan, na końcu taśmy zamiast dyrektora z teczką powinien stać kasjer z torbą i ogonek klientów.

– I co ma robić ten kasjer?

– Wypłacać każdemu z klientów po 120 kaffi.

– Jakich kaffi?

– No tysiąków złotych.

– Na co?

– Na zakup tych samochodów. No i żeby urząd skarbowy nie miał prawa pod maskie zaglądać.

– Samochodom?

– Nie, klientom, bo oni w maskach powinni w ogonku figurować, rzecz jasna, że tylko ci, co z gotówką przyjdą. Bo ludzie chcieliby i boją się.

– Czego się boją?

– Spowiedzi wielkanocnej w parafii św. Lindleya i pokuty za grzechy w charakterze domiaru.

– To już niech każdy sam o zbawienie swojej duszy się martwi, a my się cieszymy, że fabrykacja leci i przez te dziesięć lat tak ładnie nam się motoryzacja rozwinęła. Żeby jeszcze nie te wypadki drogowe, toby faktycznie było na szosach żyć, nie umierać.

– Toteż po mojemu na wzór zagranicy powinno się u nas na skrzyżowaniach postawić tablice: „Kierowco, uważaj na swoje zdrowie, pamiętaj, że nie masz dla siebie części zamiennych”.

– To zupełnie jak samochód „warszawa”.

– Jak to?

– No bo spróbuj pan dostać głupie delko, wał korbowy, pompe albo skrzynkie biegów, kaptcie pan pogubisz.

– Bo pan nie umiesz szukać. Na miejscu w Warszawie, gdzie jest fabryka, nie możesz pan czegoś podobnego dostać, to jasne. Spróbuj pan w Gdyni kupić węgorka. Trzeba wsiąść w pociąg i pojechać.

– Gdzie, do Radomia, do Lublina?

– Skąd? Za granice. Najlepiej z wycieczką „Orbisu” „Trzyście stolic”, zawsze w którejś delko do „warszawy” pan znajdziesz. Wiadomo – artykuł eksportowy i cieszyć się tylko trzeba.

– Toteż ja się cieszę, bo także samo za samochodowego lubilata się uważam, a nawet starszego, bo jeszcze przed FSO-
-sosem zacząłem podobną produkcję.

– Co pan mówisz, to ciekawa rzecz, i co to było? Dziecinne wózki na elektryczne baterijki „Osram” czy może ryksze na karbid?

– Był to, uważasz pan, tak zwany żono-moto-rower, czyli skrzyżowanie żony z rowerem. Coś w rodzaju rykszy, skrzynka między dwoma rowerami. Jeden był męski, dla mnie, z wolnym kołem, drugi – damka, dla małżonki, z ostrem.

W środek kładło się wałówki i jazda na majówkie do Buchnika. Gienia ciągnęła całe maszynerie, a ja przeważnie odpoczywałem. Obojgu nam to dobrze robiło: ja się poprawiłem, a żona uzyskała linie. Bardzo pomysłowa była ta maszyna i chciałem ją opatentować na eksport do Arabów, gdzie podobnie mężowie na osiołkach jeżdżą, a żony za nimi piechotą szorują. Ale powstała przez ten czas FSO i zrobiła mnie konkurencje samochodem „syrenka”.

– Daj pan spokój, jaka konkurencja! Co „syrenka”, to nie pański żono-moto-rower. Tyż porównanie.

– Ale mój się nie psuł. Przy zmianie żon mogło się niem dojechać do samego Monte Carlo, pokaż pan te sztuki na „syrence”.

– Bo tam podobnież góry po drodze. Trzeba inną trasę wybierać i ścigać się do miejscowości położonych z górki. Wtenczas dobrze naciśnięm „syrence” na płuco i pierwsze przyjeździem do mety z okrzykiem: niech żyje młody lubilat FSO w Żeraniu.

Rzecz jasna, że my z koleżką tak ze złości przygadujęm „syrence”, bo jej nie mamy, ale przy jajeczku każdemu będziem jej życzyć od dziś za rok, a najpóźniej za dwa. Wesołych Świąt!

Uważać na szyny

Patrze, a Gienia całuje wczoraj swoją jesionkie na wato-line. Złękłem się, że żona na nerwowe słabość mnie zapadła, jużem chciał po doktora lecieć, ale dla pewności zastawiłem się krzesłem i pytam się:

– Gieniuchna, co ci jest, może kogotka przyjmiesz?

– Dlaczego?

– No bo widocznie główka cie boli?

– Skąd wiesz?

– Zachowujesz się tak więcej nerwowo... Ciucha swojego serdecznie całujesz?

– Sam jesteś wariat. Ja tylko z jesionką się przepraszam, z powodu zmiany wyżu na niż, czyli że lipiec w listopad nam się zamienia.

– Gieniuchna... ty jednakowoż musisz się dać zbadać nerwowemu doktorowi... Jaki lipiec, przecież mamy dopiero kwiecień?

– A ja ci mówię, że lipiec. Widziałeś w kwietniu kiedy 38 stopni ciepła w cieniu? A wczoraj było.

Ucieszyłem się niemożebnie, że moja małżonka nie chorowita, tylko dowcipna i kącikiem humoru się posługuje. Pocałowałem ją nawet w czoło i usiadłem przed telewizją. Ale za chwileczkę znowuż strach mnie obleciał. Widzę, że Gienia wyciąga z szafy swoje zimowe foki na króliczych pelisach, wyjmuje z nich bagno i przeciwmolowe kulki, trzepie z naftaliny i przymierza.

– Królowo mojej piękności – mówie – co ty znowuż robisz? Na podbiegunowe Arktykie się wybierasz z niejakim Centkiewiczem?

– Z jakim tam Centkiewiczem, z tobą się szykuje na pochód majowy.

– W zimowym futrze?

– Jeszcze nie wiem. Na każdy jeden wypadek z naftaliny go wyjęłam, bo nie wiadomo, co będzie jutro. Pogoda chisia dostała od tych atomów, kalendarz zupełnie jej się w głowie pokiełbasił i dlatego nie mogłam być pewna, czy śnieg nawet jutro nie spadnie. Totyż naszykowałam futro, boty i jesionkie. Ale niezależnie mam przygotowaną kretonową sukienkie

w czerwone róże, także parasolki i gdynki. Dla ciebie odprasowałam koszulę Słowackiego i czerwony krawat w biały rzucik. Niech się pogodzie nie zdaje, że w kant nasz uderzy i nie pozwoli wziąć udziału w pochodzie.

Niech sobie Gienia co chce mówi, a ja zadowolony jestem, że się ochłodziło. Rzecz jasna, rozchodzi mnie się o ten Wyścig Niepokoju: Berlin – Warszawa – Praga Czeska. Dlaczego niepokoju? No bo rokrocznie z nerw wychodzę i spokój tracę, jak naszym chłopakom poleci. Czy kichy jem nie nawalają tak rowerowy, jak i prywatne wskutek nadużycia zsiadłego mleka. Czy rowery wytrzymają te wszystkie kraksy na zakrętach. W tym roku najwięcej podobnie będę się niepokoił o szyny tramwajowe w Berlinie. Do nagłej krwi tam tych szyn trzeba przecinać w poprzek, zacznę się z miasta wyjadzie. I właśnie w Berlinie ten wyścig w tym roku się zaczyna i jak się wygarnię na starcie, to zacznę się pozbieramy, do samej Warszawy czołówki już nie dogonię. A może by tak ten pierwszy etap przez miasto Berlin przebyć po prostu tramwajem, on się szyn nie boi?

Zresztą co się będę z góry przejmować – zobaczy się. Na razie faktycznie dobrze jest, że się oziębiło. Na rower nie ma gorszej cholery jak upał. Raz, że się pić chce, a po drugie ludność na szosie z kubłami stoi i polewa cyklistów dla ochłody. A to czasem może się skończyć tragicznie. Sam wiem o tym z praktyki. Pare lat temu w tył jechałem na rowerze do Łomianek na wesele swojego chrześniaka Kropidłoszczaka. Podjeżdżam już pod Łomianki i dziwię się, że orkiestra strażacka stoi i „Na lewo most” podgrywa. Ludzi także samo pełno, bis mnie biją i „niech żyje” krzyczą. Ja się kłaniam, bo myślałem, że to wesele po mnie wyszło. I od razu jak mnie ktoś nie chludnie wiadrem wody w same oczy, jak drugi nie poprawi jeszcze jednym kubłem. Widzę, że nic nie widzę, i wpadłem na drzewo.

Widelec złamałem, z kół ósemki mnie się porobili i straciłem tak zwane dwa siekacze. (Na weselu potem już tylko pasztetowe kiszki mogłem jeść, a przepadam za suchą kiełbasą).

Okazało się, że jak raz wyścigi cyklistów się odbywali i za zwycięzce byłem wzięty. A żebym tak naprawdę był którym z Królaków albo na przykład takim Stasiem Gazdą, to mógłbym w tych warunkach wygrać etap?

Kiszki pasztetowe!

Totż lepiej, że duży niż się rozwinął i dał w kość wyżowi atlantyckiemu. Może nie będziem się tak pocić w wyścigu. W każdym bądź razie uważać na szyny!

A może kominiarz?

Długo nie mogłem namówić Gieni do głosowania na najlepszą piosenkarkie. Co którą wymienie, moja małżonka krzywi się jak po occie siedmiu złodziei:

– Co, ta mała czarna? – mówi. – Za nic na świecie, za bardzo mnie Mordzielakową przypomina.

Podaję drugie nazwisko, znowuż niedobrze:

– Czego? Ta długa gidia, ta gloria in ekselsis deo? Nie zgadzam się – kubek w kubek ta kasjerka spod „Ślepego Leona”.

Trzecią znowuż rudem wypłoszem nazwała, maglarki córką.

Rozchodziło się o sercową zazdrość. Faktycznie, w swoim czasie zasuwowało się perskie oczko do niejednej twarzowej cizi na Targówku, Grochowie, nie licząc, rzecz jasna, Szmulek. Pare sztuk Gieniuchna zapamiętała i od tej pory, od czasu do czasu, się na nich odgrywa. Tak samo było przy tem głosowaniu.

– Na co ty właściwie chcesz wygrać te artystkie? Co ty będziesz z nią robił, stara mantyko? – pyta się mnie w końcu.

– Ależ Gieniuchna, zachodzi bolesne nieporozumienie. Tu nie o artystkie się rozchodzi, tylko o samochód – „syrenkie”. Cztery ich jest podobnie do wygrania.

– No to głosuj na samochód, co tu płęć damskie do tego mięszasz?

– Kiedy tak nie można, leguramin jest taki, żeby głosować właśnie na artystkie, która nam się najwięcej spodoba.

– A o wiele mnie się żadna nie spodoba?

– Nie przeszkadza, musisz się poświęcić, napisać, że owszem, spodoba mnie się ta i ta, żeby w ciągnięciu wziąć udział.

– Jak tak, to pisz Kawecka.

– Jaka Kawecka?

– Wiktoria Kawecka, która tak ładnie „Wesołe wdówkie” odgrywała.

– Gieniuchna, tu musi być osoba żywa, na chodzie...

– A na artystę w męskim rodzaju głosowania nie ma?

– Owszem, oprócz tego, że na śpiewaczkie, głosuję na śpiewaka. A także samo, jeżeli mamy życzenie samochód wygrać, musimy i na piosenkie głos złożyć, która nam najwięcej podpadła.

– Tak, no to pisz: „I krok w krok za nią mknij”.

– Co to za piosenka, z czego to jest, z radia, z filmu?

– Z „Wesołej wdówki”.

– Co ty Gieniuchna z tą wdówką, jak pragne szczęścia. To musi być powojenna piosenka.

– To jest właśnie powojenna.

– Tak, ale po japońskiej wojnie, a tu się rozchodzi o ostatnią.

– Jak tak, to pisz „Wio, koniku”.

– Znowuż z naftaliny wyciągasz kawałek. Wymień coś świeższego.

– „Na lewo most, na prawo most”.

– Już lepiej, ale coś ty sie tak do tej komunikacji przyczepiła: konik, mosty, tramwaje. Weź jakiś inny artykuł pod uwagę, jak np.: miłość, wiosne, motylki, lody, biżuterie i temuż podobnież. – Koniec końców wybraliśmy piosenkie o kompocie z gruszek, bo śpiewała ją artystka podobna do garbatej, jak utrzymuje Gienia, szewcowej z Zacisza, która uciekła z kominiarzem. Może kominiarz szczęście nam przyniesie?

Druga nóżka

Koleżka mój, niejaki Topielec Alojzy, miał niemożliwy odcisk na prawej nodze. I to taki, że nic na niego nie pomagało, żadne tam maście i zajzajery, tak z apteki, jak i z bazaru Różyckiego.

Ktoś mu doradził, żeby świeżą słoninę z młodego wieprza przykładał. Ale i z tego nic nie wyszło. Smalec przez dziurki od sznurowadeł mu wyciekał, a odcisk cały i dokuczał jak nieszczęście, tylko tyle że się świecił, a człowiek cierpiał. Na różne przy tem nieprzyjemności był narażonem, bo jak na przykład w tramwaju ktoś go nawet leciutko w odcisk uraził, z miejsca dostawał w ucho. Potem sprawa i odsiadka. Jak dzieciak płakał do mnie nieraz Topielec na swój garbaty los. Wzruszyło mnie to w końcu i mówię mu:

– Nie umiesz sie pan oblecić z tem draniem odciskiem? Bywszy na pana miejscu do pedikuru bym sie udał, tam z miejsca dadzą mu rade, wyrzną do kości i po krzyku.

Długo sie ten ów koleżka namyslał, bo sie bojał isc pod noz, ale jak raz nadzial sie w autobusie na milicjanta i grozila mu sprawa o pobicie wladzy, sam mnie prosil, zeby go zaprowadzic do tego pedikuru.

Poszilsmiy w Chmielne do zakladu. Za dziesiec minut byl jak nowo narodzony czlowiek. Raz tylko krzyknał i odciska nie bylo. Pedikurzystka wymasowala mu potem nozkie, wyperfumowala nawet i mowi:

– Poprosze o druga.

– Kiedy na tej drugiej nie ma odciska – odpowiada Topielec.

– Nic nie szkodzi, uporzadkujemy i ja.

A ten sie przekomarza i za nic na swiecie nie chce buta zdjac. No to ja zaczynam go namawiac:

– Nie badz pan uparty, pokaz pan drugie nozkie.

A ten nie i nie. Zgniewal mnie koniec koncow i nadmieniam:

– A co pan sześć palców posiadasz i wstydzisz sie pan? Nawet o wiele tak, nie ma czego. Ta pani nie takie rzeczy juz widziala. Najwyzej drozej o dwa zlote za dodatkowy palec policzy. Ja go panu funduje. Ściagaj pan kamasz.

Ale sie uparl jak mur. Żywo sie ubral i wyszilsmiy. Na ulicy go sie pytam:

– Miedzy namy mezczyznami powiedz pan otwarcie: dlaczegoś pan nie dal drugiej nogi do obróbki? Dwuznaczne slowo masz pan na niej wytatuowane, jak matrosy, czy jaki matrymonialny rysuneczek?

– Nie o to sie rozchodzi. Drugiej, uwazasz pan, nie mylem.

– Dawno?

– Dosyc. Tak mniej wiecej od Wielkanocy.

– No to sporo, teraz juz po Zielonych Świątkach. A dlaczego?

- Nie wiedziałem, że będzie potrzebna.
- A miednice masz pan w domu?
- Mam nawet łazienki.
- No chyba w wannie świni pan nie trzymasz?
- Skąd. Pieczarki hoduje.
- Po co?

– Mam takie słabość, a piwnica ciasna, ledwo węgiel się zmieścił. Łazienka bez okna – pieczarka to lubi. Nawet światła nie zapalamy, bo jej szkodzi.

Ale taki był kontent, że się pozbył odciska, że zaprosił mnie pod budki, na większe jasne z wianuszkami, a potem do kina.

Ale ze względu na te jego drugie nóżki odmówiłem. Myślę sobie: w kinie da się odczuć i na mnie będą ludzie podejrzanie patrzyli. Chociaż nie zawsze i nie w każdym. Są takie, że faktycznie nie wiadomo, kto z publiki mydła nie nadużywa i gdzie nawet przedwojenne szprycowanie powietrza leśną wodą by nie pomogło.

Jak sobie przypomniem, że nawet starożytne Rzymianie mieli łazienki i co dzień się kąpali, przykrość da się odczuć, że my w wannach rolnictwo praktykujemy.

A w Rzymie dochodziło do tego, że taka na przykład Epopea, żona Nerona, w oślem mleku kąpiel sobie brała. Wpada raz Neron do mieszkania, pociąga nosem i mówi: Co tu tak mlecznem barem czuć? Wszystko się wydało, a że tego dnia jak raz na śniadanie była biała kawa z kożuszkami, Nerona zemgliło, zdenerwował się i kazał małżonkę udusić.

Rzecz jasna, że każda przesada do niczego dobrego nie prowadzi. Totyż nie wymaga się, żeby się ktoś kąpał w mleku, nawet krowiem, wystarczy woda.

A już nóżki trzeba uwzględniać jak najczęściej, i to obydwie, nawet nie udając się do pedikuru, kina czy w goście.

Sam-tata

Przeczytałem, ma się rozumieć, w gazetach, że podobnie duże oszczędności mają być zaprowadzone przy budowie nowych mieszkań.

„W jednym z warszawskich osiedli rozpocznie się budowę domów oszczędnościowych. W poszczególnych mieszkaniach nie będzie się wstawiało drzwi, lecz tylko futryny, lokatorzy jeśli zechcą, przywieszą do nich zasłony, jeśli będą mieli skłonność do «luksusu» – kupią drzwi w składzie, tak jak się kupuje piecyki gazowe, firanki czy meble. Kuchnie pozbawione będą okien, będą miały światło pośrednie. W łazienkach wanny zastąpi się kącikiem z natryskiem. Eksperyment ma być stopniowo rozszerzony”.

Tak pisało w prasie. Po mojemu to faktycznie słuszne – co wymyślili ostatnio budowlani wynalazcy: kogo stać na takie luksusy jak drzwi, niech sobie kupi. Co się tyczy okien w kuchniach, to także samo święta racja, bo do czego faktycznie służyli okna w kuchniach. Przed wojną kuchty wyglądali przez nich po całych dniach na strażaków. Teraz pomoc domową rzadko kto posiada, to i okna nikomu tam niepotrzebne. Z łazienkami to samo. Jak będzie prysznic, może faktycznie częściej lokatorzy będą się kąpali, bez obawy, że węgiel w wannie się jem zamoczy albo że się ryba płoszy. Węgiel można trzymać pod łóżkiem, a że ryba na święta nie będzie miała gdzie pływać, to też żadna przyczyna, bo gdzie się dzisiaj dostanie żywego karpia. Jeżeli się rozchodzi o mnie, to bym jeszcze doradził jedną oszczędność: szyb bym w ogóle w okna nie wstawiał. W lato nikomu niepotrzebne, bo i tak najzdrowiej spać przy otwartych oknach, a na zime lokatorzy mające skłonność do luksusu sami już by się postarali o szyby, o to możemy być spokojne.

Na upartego to i ściany działowe w mieszkaniach zbyt cenne, przeszkadzają tylko w ustawianiu mebli i fisharmonie małżeńskiego pożycia nieraz ludziom niweczą, przez wywoływanie sprzeczek, gdzie zrobiem sypialnie, gdzie stołowy, a gdzie się dzieci podzieją. Zamiast trzech nieustawnych klitek będziem mieć jeden duży salon kuchенно-bawialno-sypialny z prysznicem w jednym rogu, a sedesem w drugim.

A jak tak fest skoczyć po rozum do głowy i jak się należy pokompinować nad rozszerzeniem tego tak zwanego eksperymentu, to po co właściwie komu potrzebne klatki schodowe, czyż nie taniej byłoby posługiwać się dajmy na to drabinkami sznurowemi? Jaka gimnastyka, jaka zabawa dla dzieci. Tylko ze starszemi osobami byłoby troszkie kramu. Można by ich co prawda wnosić na barana, ale to tyż niepotrzebne. Niech siedzą w domu, po co się mają włóczyć po mieście i zamieszanie w ruchu kołowym wywoływać.

Jak oszczędność, to oszczędność, totyż: także samo spodobali mnie się te tramwaje samoobsługowe, czyli „samy” komunikacyjne, bez konduktora, dla posiadających miesięczne bileta. Faktycznie oszczędność i jaka wygoda. Prawie puste chodzą, podczas gdy na zwyczajnych niemożebne winogrona wiszą.

W niedziele było z tem troszkie tragedii rodzinnych i dzieci mocno płakali. Bo to tak – tata ma bilet miesięczny i jedzie na spacer jak przedwojenny hrabia Potocki pustem samoobsługowem wozem, a mama z dziećmi na buforze zwyczajnem zapycha albo na przystanku się zostaje i krzyczy, że do rozwo-
du męża poda.

Ale kaźden początek jest trudny, żony powoli się przyzwyczajają, a co zaoszczędziem na konduktorach, to zaoszczędziem.

Propozycje robie, żeby się taki wagon nazywał „Sam-tata”, bo mama nie ma do niego wstępu.